Rozmaitości

Dnia 11. Kwietnia — Nr. 15. — Roku 1840.

ZA DZIESIĘĆ LAT.

Już było późno w noc, gdy dwóch młodych ludzi, Dawidson i Moker, w londyńskiéj dzielnicy *City* wyszło z jednego domu. Dawidson pożegnawszy się z swym towarzyszem, wracał zwolna do swego pomieszkania. Moker stanąwszy przede drzwiami domu, z którego właśnie obadwaj wyszli, patrzył za nim przez chwilę, poczém uderzywszy się w czoło, jak gdyby nagle jakaś nowa myśl mu przyszła do głowy, pospieszył za Dawidsonem i dognał go aż na rogu ulicy. »Dawidsonie«, rzekł do niego, »zaczekaj, wstąpimy do tawerny, gdzie bez przeszkody zabawić się możemy... Mam z tobą coś pomówić.«

»Jako?... o téj godzinie, tak późno? niezadługo uderzy dwunasta... mnie nie wpuszczą do domu, gdy wszyscy spać się pokładną.«

»Mniejsza o to... wtedy w mojém pomieszkaniu się przespisz.«

»Niemogęż się tu dowiedzieć?...«

»Pójdź, właśnie jesteśmy przed oberzą Trughtona... wstąpmy do tego domu.«

To rzekłszy Moker, wciągnął swojego przyjaciela do oberzy, w któréj już nikogo nie było, jak tylko pełno dymu z fajek. Przyjaciele usiedli za stołem, a gospodarz Troughton postawił przed nimi pieniący się porter i dał im nałożone fajki.

»Napijmy się wprzódy«, rzekł Moker, »za twoje zdrowie!«

»Zgoda, ale teraz żądam, abyś mi oznajmił, co masz ze mną do pomówienia.«

»I owszém, oznajmię ci, słuchaj: Właśnie wracamy z domu majstra Burkharda, naszego dawnego pryncypała, najmajętniejszego złotnika w całym Londynie... Ja sądzę, iż jeden z nas od dzisiejszego dnia powinien zaprzestać bywać w tym domu...«

»A tóż dla czego?«

»Przecież domyślasz się, Dawidsonie.«

»Mów [illegible] przyjacielu, dlaczego?«

»Oto dl[illegible] współzawodników nie może żyć zgodliwie w jedn[illegible]m domu razem, ani téż spokojnie widywać się w pokoju swéj kochanki.«

»Prawdę mówisz Mokerze, i chociaż moim kochanym przyjacielem jesteś, przecież dzisiejszego wieczora więcéj niż dwadzieścia razy powstawało we mnie życzenie, abyś sobie poszedł był do czarta.«

»Przyznam ci się, że i we mnie nie inna myśl powstała.«

»Każde twoje spojrzenie, jakby gorejąca pochodnia rozpalało zazdrość w mojém sercu.«

»Ja zaś gdybym był mógł, byłbym cię struł za twoje miłosne westchnienia.«

»A ja przecież czuję przywiązanie do ciebie.«

»I we mnie podobnież przychylność ku tobie się odzywa.«

»A przecież nie życzyłbym sobie twéj śmierci.«

»I ja podobnież nie chciałbym być przyczyną twojéj... Za twoje zdrowie Dawidsonie!«

»Za twoję pomyślność, mój Mokerze!«

Obadwaj przyjaciele wychyliwszy szklanki, podali sobie przez stół ręce, poczém Moker nalał znowu porteru i rzekł: »Nie-

prawdaż, iż obadwaj kochamy córkę naszego dawnego pryncypała, pannę Zuzannę Burkhardównę.«

»Prawda.«

»Nieprawdaż, że się obadwaj z nią ożenić nie możemy?«

»Prawda.«

»Otóż jeden z nas ręki jéj zrzéc się powinien.«

»I ja tak sądzę.«

»Jakże? zrzekniesz się jéj?«

»Nie, nie zrzeknę się, jak mi Bóg miły!«

»I ja także, jak mi moje zbawienie miłe!«

»Cóż tedy mamy czynić?«

»Porozumiéć się... Powiédz, jakie masz prawo do ręki panny Zuzanny?«

»Prawo mojéj miłości.«

»Takież samo i ja mam prawo.«

»Mój majątek.«

»Ty masz majątku dziesięć tysięcy funtów szterlingów... ale i ja nie uboższym jestem od ciebie.«

»Dla mnie ojciec życzliwy.«

»A mnie matka sprzyja.«

»A panna Zuzanna?...«

Na te słowa Dawidson i Moker spojrzeli jeden na drugiego w milczeniu, a niepewność i obawa kreśliła się na ich twarzy.

»Mówmy z sobą otwarcie«, rzekł nakoniec Moker przerywając milczenie. »Wszak tu idzie o najważniejszy krok w naszém życiu...«

»Idzie tu o szczęście jednego a o nieszczęście drugiego.«

»Mnie się zdaje, iż jeszcze o coś więcéj, o szczęście lub nieszczęście Zuzanny.—Powiédz mi Dawidsonie«, rzekł daléj, a głos jego prawie zamilkł mu w ustach. »Kochaż ciebie Zuzanna?«

»Mnie...? tego jeszcze nie wiém. A ty, jestżeś pewnym, żeś od niéj kochany?«

»I ja o tém jeszcze przekonany nie jestem.«

»Otóż i w tym przypadku położenie nasze jest całkiem jednakowe... P. Zuzanna przyzwyczaiła się od dziecięctwa w równym stopniu dla nas obudwu okazywać swoję życzliwość. W jednym czasie oddali nas ojcowie nasi do jéj ojca w naukę... obadwaj spędziliśmy te same lata w rodzicielskim jéj domu. Jak jednemu tak i drugiemu posłużył ten sam czas do obudzenia miłości w młodym sercu Zuzanny, przywiązanie do niéj tkwi z równą siłą w naszém sercu... Od czasu jakeśmy własnymi panami majątków naszych zostali, z równą usilnością odwidzamy obadwaj dóm naszego zacnego pryncypała i staramy się potajemnie o rękę jego córki. Jeden z nas jest zapewne bliższym jéj sercu niż drugi. Jestżeś ty, albo jestżem ja tym szczęśliwym? Podobałoż się jéj więcéj twoje poważne zachowanie się, albo też zajął ją bardziéj mój wesoły i żartobliwy humor? Na wszelki sposób o tém dowiedziéć się musimy.«

»Otóż właśnie nigdy się o tém nie dowiémy«, odrzekł Moker, »dopokąd się obadwaj o jéj rękę starać będziem... Zuzanna jest za dobra i za łagodna, aby w tym względzie jednemu dała piérwszeństwo, któreby przyjaźń naszę niezawodnie zniweczyć mogło... Nim na to zezwoli, wolałaby raczéj z litości ku temu, do którego mniejsze ma przywiązanie, zrzéc się szczęścia swojego. Poznajesz więc dobrze, mój przyjacielu Dawidsonie, że ja albo ty, jeden z nas obudwóch jest przeszkodą w szczęściu Zuzanny.«

»Prawdę mówisz, wielką prawdę Mokerze.«

»Zdrowie twoje Dawidsonie!«

»Zdrowie twoje Mokerze.«

To rzekłszy, jeszcze raz obadwaj spółzawodnicy wychylili szklanki, lecz tą razą zapomnieli już podać sobie ręce.

»Czy przystajesz na to, abyśmy tę rzecz nim z tąd wyjdziemy, pomiędzy sobą ukończyli?«

»Właśnie chciałem ci to samo powiedziéć.«

»Sądzę, iż nam tylko jeden środek zostaje, to jest pojedynek.«

»Nié ma co mówić, piękna myśl! Ale powiédz mi też Dawidsonie, czy pojedynkowałbyś się ze mną, gdyby ci wróżka przepowiedziała, że ja cię w pojedynku zabiję, a z panną Zuzanną się ożenię?«

»Kochany przyjacielu... ja nie pojedynkowałbym się, jak tylko w téj nadziei, że cię ze świata zgładzę.«

»I ja tegoż samego zdania jestem mój nieprzyjaźny przyjacielu... ale, ponieważ ja równie jak i ty, odnieść możemy zwycięztwo...

»Przeto nie życzę sobie, abyś ty z moją szkodą został szczęśliwym...«

»Prawdziwie słusznie mówisz...«

»A potém, gdyby panna Zuzanna ciebie kochała (czego nie daj Boże), czy sądzisz, iżby zabójcy Mokera oddała swoję rękę?«

»Bynajmniéj... równie jakby jéj nie oddała także zabójcy Dawidsona.«

»Ale połóżmy, iżby ją nawet oddała, rozważ dobrze Dawidsonie, mógłżebyś być szczęśliwym, gdybyś przelał krew swego przyjaciela?...«

»Zaiste nie byłoby to szczęściem mojém, a przecież szczęścia szukamy.

»Ach mój Boże, ale jakże je znaleźć?«

»Pójdź, uściskaj mnie przyjacielu, ja ci powiém jakim sposobem.«

Na te słowa powstał Dawidson z miejsca i postąpił rzucić się w otwarte objęcie przyjaciela, lecz nim go uściskał, zapytał: »No jakże, otrzymamże rękę Zuzanny?«

»Otrzymasz«, odrzekł Moker.

Wtedy Dawidson wzruszony, przycisnął go serdecznie do swego serca; ale niedługo trwała radość jego, gdyż Moker zaraz dodał: »i ja, i ja także z nią się ożenię.«

Dawidson zmierzył go wzrokiem, w którym się dokładnie ta myśl malowała, że przyjacielowi i spółzawodnikowi jego w głowie się przewróciło.

Moker postrzegłszy ten niemy wzrok swojego przyjaciela, rzekł natychmiast: »Mylisz się Dawidsonie, jestem przy zupełnym rozumie; środek, który ci chcę zaproponować jest jedynym w naszych stosunkach. Już od miesiąca nad nim przemyślam, aż dopiéro dziś w wieczór wpadł mi na myśl w chwili, gdyś Zuzannie nici zwijać pomagał. Gdybym ci go był zaraz na początku naszéj rozmowy objawił, byłbyś się przeraził okropnym warunkiem, jaki w sobie zawiéra. Aby cię więc do przyjęcia propozycyi mojéj przygotować, musiałem ci okazać wszelkiego innego środka, a nawet samego pojedynku niepodobieństwo; teraz zaś łatwo porozumiéć się możemy.«

»Ciekawy jestem«, odrzekł Dawidson drżący z przestrachu i niecierpliwości.

»Cóż powiész na to, gdybym ci rękę Zuzanny, piérwszą jéj miłość i dziesięć lat szczęśliwego pożycia z nią odstąpił...«

»Mokerze, za to szczęście oddałbym ci całą resztę mojego życia.«

»Dobrze sądzisz, ale i ja tak sądzę, i dla tego ugódźmy się natychmiast. Jeden z nas Dawidsonie (na którego los padnie), ożeni się z piękną córką Burkharda, a spółzawodnik jego wyniesie się z Londynu a nawet z ojczyzny, aby miłość do małżonki przyjaciela nie burzyła spokojności domowéj.«

»Ale czyż drugi z żalu i zgryzoty nie umrze?«

»Byłoby to nierozsądnie... bo po upływie lat dziesięciu przyjdzie i na niego koléj używania szczęścia z Zuzanną, wtedy on dzieci z piérwszego małżeństwa przybierze za swoje, i będzie miał prawo zatrzymania przy sobie swojéj żony tak długo, aż pokąd ją śmierć z nim nie rozłączy i nie zaprowadzi tego anioła w niebo, z którego na ziemię zstąpił.«

»A... piérwszy małżonek?«... odezwał się Dawidson drżącym głosem.

»Ten właśnie drugiemu miejsca ustąpi.«

»A to jakim sposobem?...«

»Żona jego owdowieje...«

»Jako? on się zabije?...«

»Zabije; ale czyliż przez lat dziesięć nie nasyci się szczęściem prawie nadludzkiém.«

»Przez lat *dziesięć*... a drugi przez *całe życie*...«

»Tak jest przez *całe* życie, ale nie musisz ten drugi wprzód spędzić lat dziesięć w piekielném udręczeniu zazdrości... a przytém już się on nie z młodą, świéżą dziewicą, ale z wdową ożeni.«

»Przystaję na tę ugodę«, przerwał mu Dawidson z pośpiechem mowę... »i obiéram sobie piérwsze lat dziesięć.«

»Chwilę cierpliwości, mój przyjacielu! któż ci powiedział, że ja ci pannę Zuzannę w téj chwili dobrowolnie odstąpić myślę? I owszem, ja spodziéwałem się, że *ty* zaczekasz...«

»A więc niech los rozstrzyga...«

»Zgoda, ale w jakiż sposób?«

»Partyją szachów.«

»To zadługo potrwa.«

»Więc niech rozstrzyga wizerunek albo napis rzuconéj na los monety.«

»Niech i tak będzie. Oto jest gwinea, którą rzucę w górę... cóż ty sobie wybiérasz?«

»Wizerunek«, odrzekł Moker, »a Bóg niech mi dopomaga...«

Gwinea padła na ziemię i toczyła się długo po pod stoły gościnnego pokoju, poczém obudwu przyjaciołom, którzy za nią wytężonym wzrokiem patrzyli, z oczu zniknęła. Nakoniec usłyszeli, iż się toczyć przestała i legła; ale jakże ją teraz wynaleźć? Lampa, którą postawili na stołku, skąpo tylko oświécała brudną podłogę, a stoły rzucały długie cienie, na które jéj promień nie padał. — Działo się to w miesiącu styczniu, grube warstwy śniegu zapełniały ulice Londynu, zimno było przenikliwe, a przecież obudwu przyjaciołom lał się pot z czoła... Los rozstrzygnął ich przeznaczenie, wymienił już piérwszego małżonka Zuzanny i oraz oznaczył małżonka wdowy po panu Moker albo po panu Dawidson... Wyrok jego zapadł... był w pobliżu nich, a przecież oczy ich dostrzédz go nie mogły; pełna przeznaczenia gwinea ukrywając się jakby na umyślnie przed ich oczyma, z ich wytężonego oczekiwania szydzić się zdawała.

Na stuk, który obadwaj sprawili, odsuwając z miejsc swoich stoły i krzesła, ocknął się gospodarz Troughton, który się już dawno był zdrzymał. Zerwawszy się, sądził z początku, iż złodzieje do jego szynkowni wleźli i okraść go chcieli. Lecz wkrótce przekonawszy się, iż to są znajomi mu złotnicy, którzy ten stuk sprawiają, zapytał ich przeto z uśmiéchem, jaki czart nimi tak miota, że w nocy spokoju mu nie dają.

»Oto szukaj razem z nami«, rzekli do niego obadwaj.

»Dobrze, ale wprzódy powiédzcie, czego mam szukać; możeście mysz albo szczura postrzegli?«

»Nie, szukaj razem z nami gwinei gospodarzu Trougthon.«

»Gwinei! a to co innego, gwinei zapewne warto szukać...«

»Będzie twoja panie gospodarzu, jeźli ją znajdziesz.«

»Dziękuję, moi panowie«, odrzekł otyły gospodarz z uśmiéchem i stanawszy raka, zaczął łazić w około stołów. Nie długo trwało, a już z tryumfem podniósł w górę pełną przeznaczenia gwineę. Lecz Dawidson i Moker postrzegłszy to, zaczęli rozpaczać z żalu. Ponieważ gospodarz podniósł gwineę, przeto rozstrzygnięcie losu na niczém spełzło.

»Niech kaci porwą tego brzuchacza!« rzekł Moker z gniewem.

»Przekleństwo jest grzéchem«, odrzekł Dawidson poskramiając gniéw przyjaciela, »a klątwa spadnie na głowę tego, który ją wyrzekł. Poczciwy gospodarz będzie tak dobry i da nam kubek z kostkami, niech jeszcze raz przeznaczenie rozstrzyga...«

»Co téż to zamyślają ci dwaj włóczęgi nocni?« pomyślił sobie gospodarz i wyjął z szafy kubek i dwie kostki.

Dawidson chwyciwszy czém prędzéj kubek, bez wahania się wyrzucił z niego kostki: »ośm!« zawołał, »nie źle; być może, iż wygram.«

Moker wziąwszy kubek w rękę, długo w nim wstrząsał kostki, zanim je wyrzucił; nakoniec padły na stół, lecz zbladł gdy ujrzał, że tylko siedm punktów padło.

»Przegrałem!« rzekł z głębokiém westchnieniem; »bądź zdrów, żegnam cię Dawidsonie... Jutro wsiądę na okręt, i dopiéro za dziesięć lat do Anglii powrócę.«

»Bądź mi zdrów zacny Mokerze... gdy powrócisz, nie będziesz się na mnie użalał. Ściśle wykonam warunki ugody naszéj.«

»Przysięgnij mi to uroczyście!«

»Przysięgam ci na mój honor i na zbawienie duszy mojéj!«

To rzekłszy, obadwaj przyjaciele wyszli z tawerny. Z rzewnémi łzami uścisnęli się na drodze; poczém rozeszli się, każdy w swą stronę.

Na drugi dzień w południe oznajmił Dawidson przed panem Burkhard i rodziną jego, że Moker udał się w podróż, w któréj przez kilka lat zabawi. Zuzanna bardzo się tém uraziła, że przyjaciel ich domu, odjechał bez pożegnania. Wszelako uraza ta była tak małego znaczenia, iż Dawidson najpomyślniejsze sobie skutki rokował.

Jakoż Moker w saméj rzeczy tegoż samego dnia wsiadł na okręt, który do Francyi odpłynąć zamierzył.

We dwa tygodnie późniéj Zuzanna Burkhard poszła za pana Dawidson; a gdy nowożeńcy w Londynie wesele odprawiali, Moker już się wybrał zwidzić Włoch urocze okolice. Nie w wesołym humorze zwidzał on ten raj europejski; trawiony nieustannym żalem, jak trup blady przejeżdżał najpiękniejsze wioski, a spotykający go ludzie mówili: Anglik ten niezawodnie w Nicei życia dokończy. Jednakże nieszczęśliwy wędrowiec opiérał się całą mocą rozpaczy, która mu życie truła. Aby zniósł dziesięć-letnie rozłączenie z ukochaną istotą, starał się wszelkiemi sposoby zapomnieć o niéj, i szukał w rozrywkach ulgi strapieniu swemu. Gdy swemu przyjacielowi tę rzadką zaproponował ugodę, która go z rodzinnego wygnała kraju, nie rozważył podówczas, że nim się jego wygnanie

skończy, i nim godzina jego szczęścia wybije, tymczasem śmierć go zaskoczyć może. — Teraz dopiéro w samotnych nocach przyszła mu ta myśl do głowy i okropnie serce jego dręczyć zaczęła. — Widok włoskiego kraju, powab jego natury, pięknych kunsztów i pomników, na które nikt bez przyjemnego wzruszenia spojrzéć nie może, ukoił wprawdzie na czas niejaki żałość jego, ale niedługo obok obrazu Zuzanny, który zawsze z świéżym wdziękiem przed jego oczyma na nowo się pojawiał, wszystko zaczęło w oczach jego przybiérać barwę smutną i nie miéć żadnéj wartości. — Już był pół roku od mglistéj Anglii oddalonym, gdy jadąc do Neapolu, w jednéj oberzy bardzo niebezpiecznie zachorował. Przywołano lékarza, ale ten spojrzawszy na chorego oświadczył, iż jest już dogorywającym, i że léczyć go, żaden się lékarz nie podejmie.

Podczas gdy biédny Moker, w obcym kraju opuszczony od serc tkliwych, na śmiertelnym łożu leżał, przyjaciel jego Dawidson uszczęśliwiony miłością Zuzanny, zapomniał jak spieszno chwile czasu ubiégają, i jak bardzo krótki przeciąg dla jego szczęścia był przeznaczony. Córka złotnika z radością oddała mu swą rękę, a ośmielona nieobecnością Mokera, wyznała, że już od dawna był przedmiotem jéj miłości; jednakże aby nie zasmucić i nie oburzyć na siebie Mokera, przywiązania swojego oświadczyć mu nie śmiała. Szczęśliwy jéj małżonek podając się zupełnie błogim, przyjaźnym chwilom, znalazł w silnéj swéj piersi dostateczną odwagę do rozprószenia wszelkiéj myśli, którąby zbliżająca się przyszłość w pamięć mu przywoływała. Miłość i przywiązanie ukochanéj małżonki uprzyjemniały mu życie, i tak dalece napełniały całą jego istotę, iż do serca jego przez cały ten czas ani smutek ani bojaźń przystępu nie miały.

W takim stanie upłynęło lat ośm, a straszna chwila rozstania się, coraz bardziéj się zbliżała... Jakiś mimowolny smutek zaczął zwolna osiadać na jasném, pogodném czole Dawidsona. Posępny, martwy wzrok wlepiał często w wesołą, świéżą twarz swéj żony, i łzy się mu w oczach błąkały. Lecz gdy Zuzanna w jego oko spojrzała, wtedy uśmiéchem pokrywał swą posępność, a twarzy swojéj starał się nadać wyraz szczęścia, miłości i błogiego zadowolenia. Co większa, nieraz się mu zdarzyło, iż całując i pieszcząc Maryję, małą córeczkę swoje, rozpłakał się rzewnémi łzami; Maryja była jedyném dziécięciem, którém niebo miłość ich pobłogosławiło.

»Przyjaciel mój, Moker«, tak mówił sam do siebie, »przyrzekł mi dziesięć lat szczęśliwego pożycia, ale widzę, że mnie oszukał; wszakże teraz już szczęśliwy nie jestem, a przecież jeszcze mam żyć dwa lata! Jeszcze dwa lata — a potém — żona moja płakać będzie nad moim zgonem, a córka moja przywdzieje po swym ojcu żałobę! A spółzawodnik mój rozpocznie szczęśliwe życie, które dla mnie się skończy! Ach, czemużto raczéj, ja sam siebie na czekanie nie skazałem!... nie wyobrażałem sobie podówczas téj okropnéj chwili rozstania... wtedy jeszcze nie byłem ojcem, tylko zapalonym, niecierpliwym kochankiem... i w zaślepieniu mojém błogosławiłem przeznaczeniu, które mnie uwolniło od udręczenia dziesięcio-letniego czekania!«

W takich chwilach żalu i smutku zapytywał niekiedy Dawidson samego siebie, ażali w saméj rzeczy obowiązany jest dotrzymać przysięgi, którą złożył swemu przyjacielowi. Przez cały czas od owego wieczora spędzonego w domu gospodarza Troughtona, nic już więcéj o Mokerze nie słyszał. Spodziéwał się, za co sumienie nie raz surowo go upominało, że Moker już nie żyje, że niebo niepochwalając tak zuchwałego z ich strony postanowienia, ukarało jednego z nich w swym gniewie, aby drugiego od przysięgi uwolniło. Lecz poczciwość jego odnosiła zawsze w końcu nad takiém rozumowaniem zwycięztwo, i zawsze w posępnych chwilach kończył tém postanowieniem: »Dotrzymam przysięgi i umrę!

Nakoniec po raz dziésiąty zbliżyła się rocznica jego wesela. Dawidson przymuszony przed swoją żoną i córką ukrywać los smutny, który go czekał, znalazł jeszcze w sercu swojém dostateczną odwagę do zrzeczenia się szczęścia swojego. Rocznicę wesela obchodzono podobnie jak każdego roku, jako dzień uroczysty i błogosławiony. Dawidson spędził kilka godzin w kościele na modlitwie, w któréj gorąco błagał nieba, aby mu zamierzone samobójstwo przebaczyło, i aby w chwili, gdy już na tym świecie nie będzie, gdy już inny zajmie jego miejsce obok żony i dziecka, opiekowało się istotami, które tak drogie były sercu jego.

Zmówiwszy tę modlitwę, spokojniejszy wrócił do domu. Wszedłszy do pokoju, postrzegł, iż żona jego z pośpiechem drzwi przymknęła, które do pobocznego wiodły pokoju, i że lekkiém skinieniem ręki nakazała córce milczenie. Dawidson udał, iż bynajmniéj nie postrzegł tego tajemniczego znaku, aby im nie popsuć radości, która zapewne jakąś niespodzianą sceną i dla siebie i dla niego sprawić zamyśliły.

Biédny Dawidson, którego serce ciężkim żalem przytłoczone było, przybrał twarz spokojną

i usiadłszy obok Zuzanny przy kominku, wziął Maryję na kolana i zaczął serdecznie przyciskać jéj złoto-włosą główkę do swojéj piersi. W téj chwili dusza jego rozstawała się z tém, co mu na tym świecie najdroższém było, w téj chwili musiał krzepić wszelką siłą duszę swoję, aby się nie dał pokonać bolesnemu uczuciu, które serce jego rozdzierało! Jedną ręką trzymał córkę, i tulił ją do piersi swojéj — a drugą objął małżonkę.

»Naprzykrzasz się twojemu ojcu Maryjo, pójdź na ziemię«, rzekła Zuzanna.

»Moja kochana Maryja miałażby się mnie naprzykrzyć!...« odrzekł Dawidson tłumiąc w sobie wzruszenie; »ach nie, zostań u mnie... ucałuj mnie... jeszcze raz, jeszcze raz! —«

»Tém ustawiczném całowaniem, rozpieścisz mi córkę mój mężu«, odezwała się z uśmiéchem Zuzanna, nachyliwszy się ku niemu i ku Maryi.

»Toż i mama mnie także rozpieścisz«, odezwało się dziécię, »bo i mama równie mnie tak często całujesz jak i tato.«

»O ty szczébiotko, a godzisz się to mówić?«

Dawidson słuchając téj miłéj sprzéczki, uśmiéchnął się posępnie; myślał on w téj chwili, że już niezadługo wybije godzina, w któréj tych najdroższych serc dwoje, pastwą okropnego żalu się stanie.

»Wiészże o tém mój mężu«, rzekła Zuzanna, »że Maryja nasza dzisiaj dziewiąty rok skończyła? Dał ją nam Bóg w piérwszą rocznicę naszego zamęźcia...«

»Będziemyż tak szczęśliwie, jak dzisiaj, obchodzić dziesiątą rocznicę jéj urodzenia?« zapytał Dawidson z westchnieniem.

»Ach niezawodnie, tato«, odrzekło dziécię, spojrzawszy ku drzwiom, które Zuzanna wprzódy była zamknęła. Matka upomniała ją pochmurném spojrzeniem. »Dlaczegożto od dziś za rok niemielibyśmy być tak jak dziś szczęśliwymi?« rzekła potém do swego męża, »albożto niebo nie pobłogosławiło nas wszystkiém, czego tylko nasze serca zapragnąć mogą?... Albož od czasu jakeśmy się pobrali, nie chronił nas Bóg od wszelkiego nieszczęścia?...«

»Prawda«, odrzekł Dawidson, »ale niebezpieczną jest rzeczą, przyzwyczajać się do trwałéj pomyślności. Piérwszy cios, który w nas ugodzi, może tém okropniejszym będzie!«

»Kochany mężu, nierozsądną jest rzeczą wystawiać sobie naprzód nieszczęście, którém niebo dotknąć nas może... to znaczy, jeszcze przed jego przyjściem goryczą życie sobie zatruwać.«

»Tato, jeżeli się martwisz że ja niegrzeczną jestem, przyrzekam ci, że się poprawię i naprzyszłość zawsze już grzeczną będę... Zobaczysz od jutra jak pilnie będę czytać i pisać, ale w nagrodę za to, musisz mnie często, bardzo często całować.«

Dawidson nie miał już siły odpowiedzieć na te lube pieszczoty; w milczeniu tylko tulił Maryję do swego serca, i sądził, że mu serce pęknie od żalu!

»Widzisz, jak ona rozsądnie mówi«, rzekła Zuzanna. »Ale też Maryja nie jest już więcéj dziécięciem, wkrótce będzie już słuszną panną, a za lat ośm musimy postarać się dla niéj o dozgonnego przyjaciela.«

»Tak sądzisz żono kochana?« zapytał Dawidson, wstrzymując z trudnością łzy w swych oczach.

»A jużci... Dlaczegożby nie miała używać szczęścia, którego my oboje tak szczodrze doznajemy?... A jeżeli to być może, niech to szczęście swoje w ten sam dzień obchodzi, który nas połączył.«

»Dobrze, kochana Zuzanno, jeżeli tylko to być może!«

Wtém weszła do pokoju służąca i dała swojéj pani znak potajemny: »Już dano na stół«, rzekła Zuzanna. Oboje małżeństwo poszli do jadalni, a Maryja wkradła się tymczasem do zamkniętego pokoju.

Dawidson zdziwił się zastawszy stół na cztéry osoby nakryty. »Zaprosiłaś kogo na obiad?« zapytał żony.

»Zaprosiłam«, odrzekła żona z uśmiéchem, »a że bez twego pozwolenia, nie będzieszże się gniewał kochany mężu?«

»Chciałem dzień ten uroczysty jedynie z familiją przepędzić.«

»Będziemy sami mój mężu, gdyż gość nasz nie jest obcym dla ciebie.«

»Któżto jest, może twój ojciec?«

»Nie, wszak ci wiadomo, że mego ojca nié ma w Londynie.«

»Ale, któżto jest moja Zuzanno?«

Na te słowa klasnęła żona w ręce, drzwi się otworzyły, a mała Maryja wprowadziła do pokoju — Mokera.

Dawidson ujrzawszy go, wykrzyknął przytłumionym głosem, i padł na ziemię bez zmysłów.

* * *

Gdy się opamiętał, już leżał w łóżku, a przy nim siedział Moker za rękę go trzymając.

»Mokerze«, ozwał się Dawidson słabym głosem, »tyžto jesteś?«

»Tak, jato jestem, twój dawny przyjaciel, przyszedłem życzyć ci szczęścia do dzisiejszego festynu, ale ty mnie nie najlepiéj przyjałeś.«

»Gdzie jest Zuzanna, gdzie moja córka? niech ich jeszcze zobaczę nim umrę. Jeszcze one do mnie należą, jeszcze się dzień nie skończył, do północy mam prawo żyć na świecie.«

»Nie zapomniałeś więc o naszéj ugodzie w oberzy Troughtona?«

»Otwórz to biuro.«

Na te słowa Moker otworzył biuro, i znalazł w niém dwa ostro nabite pistolety i czarnym lakiem zapieczętowany list z napisem: »W ręce wdowy po Dawidsonie.«

»Dobrześ się sprawił«, rzekł Moker, »lubię poczciwych ludzi i przyjaciół dotrzymujących słowa, ale wstań, pójdziemy uspokoić twoję żonę i dziecię, które w wielkiéj trwodze nas oczekują.«

»Mokerze! słuchaj mnie!« ozwał się Dawidson żałośnym głosem i rzucił się przed nim na kolana, »zaklinam cię na wszystko, co jest ci święte, zaklinam cię na przyjaźń naszę, zlituj się nademną, zlituj nad Zuzanną, zlituj nad naszą córką!... Uwolń mnie od okropnéj przysięgi! Do zgonu życia mego wdzięcznym ci za to pozostanę, a te dwa anioły, które mnie miłością swoją uszczęśliwiają, szczęście życia swego tobie winne będą. Dowiedz się bowiem, iż serce Zuzanny do mnie tylko przywiązanie czuło i że ona tylko mnie jednego zawsze kochała. Nie spodziéwaj się, abyś jéj miłość pozyskał. Mokerze, bracie mój, skarb ten tylko do mnie należy, i po mojéj śmierci uszczęśliwienia ci nie rokuje, bo możeż oddać Zuzanna serce swoje tobie, które już z całym zapałem duszy swojéj mnie oddała; możeż córka moja nazywać ciebie ojcem swoim, gdy już całą istotą swoją do serca mego przylgnęła? Patrz, oto sam Bóg przeznaczył nas wszystko troje dla siebie, chceszże zniszczyć dzieło boskie, chceszże tyle szczęśliwych istot do zguby przywieść, chceszże tę wesołość, tę radość w ciężki smutek zamienić? Oto u nóg twych błagam ciebie, ulituj się nademną! Wierż mi, nie dla siebie, ale dla nich, dla mojéj żony i dla mego dziecięcia żebrzę miłosierdzia twego!«

Moker podniosłszy go z ziemi, rzekł: »Pójdź ze mną do Zuzanny, tam odpowiedź otrzymasz.«

Na te słowa jak ów pokutujący zbrodzień, który idzie na plac tracenia, poszedł za nim drżącym krokiem Dawidson. Gdy wszedł do jadalni, Zuzanna i Maryja rzuciły się w jego objęcie. Na powitanie jego, zbliżyła się oraz jakaś młoda niewiasta.

»Dawidsonie«, rzekł Moker, »spojrzyj tutaj; w téj młodéj osobie przedstawiam ci moję małżonkę.«

»O nieba! co mówisz?«

»Moję wybawicielkę; jéj to winienem moje życie, ona pielęgnowała mnie, gdym w oberzy jéj ojca niedaleko Neapolu, od lékarzy opuszczony, był już bliskim śmierci.« To rzekłszy, dodał cichémi słowy: »Umierałem z miłości ku Zuzannie; Bóg dozwolił mi żyć i w objęciu Julii znaleźć moje uszczęśliwienie.«

»A cóż będzie z ugodą w oberzy Troughtona?«

»Uwalniam cię od niéj: Któż swemu przeznaczeniu oprzéć się może!«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 14. i obejmuje: 1) O uprawie lnu i korzyściach z niego. (Dokończenie). 2) Rozcieranie do zacieru gorzelnianego kartofli przez gwinty. 3) Olej z wełny i gnoju owczego i jego użytek. 4) Miód prasny jako maść przeciw oparzeniu ciała. 5) Nader ważne wyjaśnienie dla czego wartość złota co raz bardziéj się zmniejsza (Ciąg dalszy). 6) Wiadomości czasowe.

Z Wiédnia: P. J. Wachter, wydaje u Mechitarystów *Polyglotten-Grammatik* w szesnastu językach, jako to: niemieckim, holenderskim, duńskim, szwedzkim, francuzkim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, rossyjskim, polskim, węgierskim, nowo-greckim, tureckim, nowo-arabskim i perskim.

Z Wilna: Wydawanéj przez Aleksandra Grozę *Rusałki* wyszła (jak donosiliśmy) część druga, bynajmniéj co do wartości piérwszéj nie ustępująca i zawiéra samego wydawcy następujące artykuły: 1) *Pielgrzymka z Apolinem;* 2) *Relacyja o bitwie batowskiéj r.* 1652. (Ułamek historyczny wiérszem.) Nadto przyczynili się do tego noworocznika Edward Tarsza (Michał Grabowski) wyborną powieścią: »Trzy rozdziały z powieści narodowéj«; K. Podwysocki artykułem o Ignacym Krasickim; Józef Kotoni wyjątkiem z poematu o Dymitrze Wiśniowieckim i t. d. Między innémi jest także wiadomość o obrazie świętego Jana Nepomucena ręki Smuglewicza, znajdującym się w kościele machnowskim, gubernii kijowskiéj. — Część trzecia *Rusałki* ma być wkrótce do druku podaną.

W Poznaniu wyszła nowa edycyja *Satyr i przestróg Opalińskiego,* (podług wydania z r. 1642.) Stanowić będzie tom piérwszy wyjść mającego nowego *Zbioru dawnych klasyków polskich.*

Pan Preuss, profesor przy gimnazyjum w Dorpacie, wysłanym jest przez akademiję petersburską na dwa lata za granicę, w celu obznajmienia się z narzeczami sławiańskiémi i zgłębiania historycznych i lingwistycznych źródeł sławiańskich. Obecnie bawi w Poznaniu. —

Hrabia Sorgo, były minister rzeczypospolitéj raguzańskiéj we Francyi, podał wniosek do rządu francuzkiego, o utworzenie w Paryżu katedry języków sławiańskich.

Wiadomo z biblijografii, że Sebastyjan Klonowicz, autor *Flisa, Worka Judaszowego,* poematu łacińskiego *Victoria Deorum* i t. d. umarł r. 1608 w Sulmierzycach (Wielkiéj Polszcze, teraźniejszém Wiel. Ks. Poznańskiém.) Tamtejszy proboszcz miejscowy, Jks. Siwicki, zamyśla przy pomocy spółobywateli wystawić w kościele sulmierzyckim pomnik temu znakomitemu polsko-łacińskiemu poecie XVI wieku.

Chemiczny zégar stołowy. Zégarmistrz Pasquale Anderwalt w Tryjeście, wynalazł bardzo prosty gatunek zégarów stołowych, w których ruch, nie tak jak dotychczas wagami i sprężynami, ale prostym wpływem gazu wodorodnego się uskutecznia. Wiadomo, iż zetknąwszy tylko kawałeczek cynku z pewną ilością wody, w któréj kwas siarczany jest rozpuszczony, a natychmiast gaz wodorodny się rozwija. Wziąwszy więc takim płynem napełnione naczynie, i wpuściwszy w nie próżną, u dna przedziurawioną kulę, w któréj się kawałeczek cynku znajduje, wtedy przy otworze wnikający i z cynkiem w styczność wchodzący płyn rozwinie wodoród, który w skutek swego ciężaru gatunkowego kulę zapełni, i wkrótce po nad wodę ją wzniesie. Recypijent ten, który w téj mierze się podnosi, w jakiéj się wodorodem napełnia, jestto siła poruszająca, któréj pan Anderwalt do zégarów swoich używa. Atoli zégar ten ma także swoję wagę, która za pomocą przemyślnego urządzenia przez podnoszenie się nadmienionéj kuli z wodorodem, także się podnosi. Gdy bowiem waga aż do dna przyjdzie, wtedy potrąca klapę znajdującą się u górnéj części naczynia z wodorodem, która się przezto otwiera. Natenczas gaz ustępuje, kula opuszcza się na dno, gdzie dólnym otworem płyn w siebie wciąga, znowu gazem się napełnia, i w miarę jak się wznosi, opór przyczépionéj wagi pokonywa, która na

ten sposób znowu naciągnięta, poruszającej siły ciągle zegarowi udziela. — Zegar ten sam przez się iść może tak długo, jak długo cynk działalność swą zatrzyma: pan Anderwalt utrzymuje, że jedna uncyja cynku do machiny zégarowéj, na cały wiek człowieka wystarczy.

Wszystkie teatry europejskie. Pewien przy akademii *royale de musique* (wielkiéj operze) w Paryżu umieszczony urzędnik wyda niezadługo obszérne dzieło o wszystkich teatrach europejskich, do których z niespracowaną pilnością i wielkim nakładem wszelkie potrzebne data uzbierał. Dzieło to obejmować będzie dokładne wizerunki zewnętrznych fasad i wewnętrznego urządzenia wszystkich teatrów, jakie tylko są w Paryżu, Londynie, Berlinie, Petersburgu, Wiedniu, Medyjolanie i Neapolu, równie jak i w innych znaczniejszych miastach we Francyi, Włoszech i Niemczech, a prócz tego zawierać ma także ciekawe uwagi, tak dalece, iż publiczność z wielkiém natężeniem oczekuje wyjścia nadmienionego dzieła.

Prawie wszyscy artyści i robotnicy Karrary, zajmują się już przeszło rok przyozdobieniem przepysznéj sali marmurowéj dla zimowego pałacu w Petersburgu. Już przybyły do stolicy z największém zadowoleniem Cesarza Jmci, trzy wielkie okręty i przywiozły na swym pokładzie nadmienione roboty. Spodziéwają się, iż téj wiosny cała sala skończoną będzie. Dla przywiezienia drugiéj połowy, wyznaczono już inne trzy okręty. Zapłata za tę olbrzymią marmurową salę samemu miastu Karrara przyniesie dwa milijony rubli.

Pierwszy order króla. Przed kilką dniami postrzeżono w Sztokholmie, iż jakiś bardzo ubogo ubrany, niemal ośmdziesięcio-letni starzec, skradał się około król. pałacu, a to każdą razą o téj godzinie, o któréj król zwykle konno wyjeżdża. Straż królewska postrzegłszy to, i obawiając się jakiego zbrodniczego zamachu, zatrzymała go. Nie znaleziono przy nim nic więcéj, jak tylko prośbę do króla i srebrny na wypłowiałéj wstążce order, którego starzec na żaden sposób odebrać sobie nie dał. W czasie, gdy go wybadywano, bębny oznajmiły przybycie Jego król. Mości. Na ten odgłos starzec wybiega ze strażni, rzuca się do nóg królowi, i order w ręku trzymając mówi: »Najjaśniejszy panie, wygrałeś nie jednę bitwę, i tak wiele zasłużyłeś sobie orderów, iż podobno o tym pierwszym orderze zapomniałeś, któryś także w nagrodę otrzymał i mnie nim zaszczycił, a który ja przed śmiercią moją w własne ręce twoje złożyć pragnę.« — Starzec ten był nauczycielem w włości, w któréj się Karol Jan Bernadotte urodził. Król ujrzawszy tę dawną pamiątkę swoję, był nią do żywego wzruszony i pierwszemu nauczycielowi swemu pensyję dożywotnią wyznaczył. Jednakże w kilka dni po znalezieniu swego królewskiego ucznia, zeszedł starzec ze świata. Radość z tego wypadku o śmierć go przyprawiła.

Walka wieloryba z traczem morskim. Podczas owéj ciszy, jaka prawie zawsze pod zwrotnikiem panuje, (donosi pewien podróżny) byłem świadkiem jednéj z owych strasznych walk, którą wielu opisywało, a któréj może żaden z nich nie widział. Walka ta jest zaciętą i nieraz nawet zgubną dla obu spółzawodników, z których jeden dopiero wtedy wodne bojowisko opuszcza, by dokonać życia na inném miejscu, gdy śmiertelnie ugodzony nieprzyjaciel jego już na powierzchnią wypłynie. Dla wieloryba i dla tracza, tych dwóch olbrzymów morskich, odwiecznych nieprzyjaciół z wrodzonego popędu natury, zdaje się Ocean być za małym, aby każdy z nich wygodne w nim miał pomieszkanie. Sądząc podług wypadków, jakie się wydarzają, możnaby wnosić, iż w całym szérokim Oceanie jednemu tylko wielorybowi, albo też traczowi panować przynależy. — Była zupełna cisza morska, najlekszy wietrzyk nie wionął, żagle nasze obwisły na masztach, gdy nagle usłyszeliśmy wielki szum, który prawie na milę z odległości aż do nas się rozlegał. Morze wdęło na dwóch przeciwnych miejscach białe, pieniące się fale, podobne zupełnie do łamania się bałwanów morskich o dwie naprzeciw sobie stojące skały. Ani nam na myśl nie przyszło, iż dwóch ogromnych mieszkańców morza, do walki się zabiéra; lecz gdy wieloryb széroki ogón swój podobny do żagla, który na widokręgu postrzegamy, podniósł nad powiérzchnią wody, wtedy już żadnej wątpliwości nie było, że wielkie widowisko przed naszémi oczyma pojawić się miało. Dla przypatrzenia się dokładnie tym olbrzymim spółzawodnikom, wlazłem czémprędzéj w górę i zająłem miejsce w koszu masztowym. Tracz powodząc w tę i owę stronę po nad powierzchnię morza swoję potężnę zębatą szpadę, mknął w prostym kierunku, wieloryb zaś zataczając szérokie półkoła i tryskając na około siebie z nozdrzy strumieniami wody, zwolna się zbliżał. Stanąwszy jeden naprzeciw drugiemu, niemal na trzydzieści do czterdziestu kroków, wieloryb podniósł w górę swój potężny ogón, i uderzył nim swego przeciwnika, tak ciężko, iż ten natychmiast w głąb się zanurzył, ale téjże saméj chwili znowu się na drugiéj stronie z swoją szpadą pojawił. Utarczka ta prawie przez cały kwadrans trwała. W tém uspokoiło się morze, a ja straciwszy z oczu walczących, sądziłem, że się już bój zakończył: aż oto nagle w prostopadłym kierunku podobnie jak ogromny słup na płaszczyźnie, który tylko z widokręgiem graniczy, dźwignął się cały ogrom wieloryba z morza i porwał z sobą strasznego przeciwnika, który szpadę swoję całkiem w brzuchu jego utopił. Poczém obie te masy z strasznym hukiem znowu w morze zapadły, a fale, które przez to się wzniosły, aż o nasz okręt uderzyły. Morze na tém miejscu zczerwieniło się posoką; széroka krwawa smuga, któréj długości okiem sięgnąć nie mogłem, powstała na powierzchni, a obadwa przeciwniki wyzionęły zapewne swe życie daleko od tego miejsca, na którém przypadkiem się spotkały.

Błogosławieństwo boskie. Dumont, stolarz mieszkający przy ulicy *de Normandie* w Paryżu, zawiózł niedawno ukończoną robotę do domu burmistrza. W czasie gdy takową oddawał, przybiegł do niego terminujący chłopiec i doniósł mu, iż dopiéroco pani majstrowa córkę powiła. »Przyjdę natychmiast«, odrzekł stolarz do chłopca, i prosił burmistrza, by mu jak najprędzéj za robotę zapłacił. Ale z powodu umówionéj zapłaty wszczęła się sprzeczka; tymczasem chłopiec całkiem zadyszany znowu przybiégł i rzekł: »Niech też pan majster się spieszy, bo pani majstrowa już drugą córkę powiła.« — »Bardzo dobrze, więc mam już dwie, proszę pana burmistrza o zapłatę, wszak widzisz sam, iż czémprędzéj do domu wracać muszę — o biédna żono!« — Lecz burmistrz nie bardzo kwapił się z zapłatą. Nakoniec stolarz odebrawszy należytość, wraca do domu. Na rogu ulicy *Saint-Louis*, spotyka go sąsiadka i mówi: »Śpiesz się panie Dumont, śpiesz się, wpana żona zległa.« — »Wiém o tém, mam dwie córek, jak mi powiedziano.« — »Ba jeszcze co, już dał pan Bóg i trzecią!« — »Mój Boże! mój Boże!« zawołał uszczęśliwiony ojciec, bieżąc co tchu do domu. Gdy wszedł do pokoju położnicy, téjże saméj chwili i czwarta córka na świat przyszła. »Coby się też było stało, gdyby mnie burmistrz aż do trzeciéj godziny u siebie zatrzymał!« rzekł poczciwy, lecz ubogi rzemieślnik, tuląc z radością ojcowską cztery córki do swego łona.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.